

# HONORÉ DE BALZAC

MUZA Z ZAŚCIANKA

Honoré de Balzac

**Muza z zaścianka**

«Public Domain»

## **de Balzac H.**

Muza z zaścianka / H. de Balzac — «Public Domain»,

Historia Diny, bohaterki Muzy z zaścianka, jest opowieścią smutną. Piękna i utalentowana kobieta nie znajduje szczęścia u boku męża, dlatego wplątuje się w romans z paryskim dziennikarzem. Przenosi się do stolicy Francji, gdzie pragnie robić karierę i żyć pełnią życia. Czy odnajdzie tam swoje miejsce na ziemi? Jak potoczą się jej losy? Historia zainspirowana losami George Sand jest częścią Scen z życia prywatnego cyklu Komedia ludzka.

## Содержание

Od tłumacza	5
Muza z zaścianka	9
Конец ознакомительного фрагмента.	27

# Honoré de Balzac

## Muza z zaścianka

### Od tłumacza

Pośród licznych epitetów, jakimi starano się określić twórczość Balzaka, znajduje się przydomek **historyka Francji**, a także i **geografa Francji**. Historykiem Francji był Balzac niewątpliwie. Usadowiony w swoim obserwatorium – izdebce artysty – na przełomie dwóch wieków, dwóch społeczeństw, wyczuwający intuicją w fali współczesnego życia zarówno szczątki przeszłości jak zadatki przyszłości, jest Balzac wielkim malarzem historii społecznej i obyczajowej Francji, od schyłków dawnej Monarchii po sam koniec rządów Ludwika Filipa. Postacie Balzaka, mimo że tętniące tak potężnym jak mało u którego pisarza życiem indywidualnym, są równocześnie przedstawicielami grup, formacji społecznych oraz etapów spełniającej się ewolucji. Dość przytoczyć trzy pokolenia perfumiarzy, streszczające pięćdziesięcioletnią historię mieszczaństwa: Ragon – Birotteau – Crevel. Balzac, niezaspokojony jeszcze drobiazgową charakterystyką swoich postaci i ich stosunków, stara się w ekspozycji każdego utworu osadzić każdą z nich głęboko korzeniami w przeszłości: stąd owe szczegółowe rodowody, które jedynie powierzchownemu czytelnikowi Balzaka mogą się wydać zbędne.

Ale i miano **geografa Francji** nie jest retorycznym frazesem. Poza Paryżem, stanowiącym centralny punkt jego olbrzymiej epopei i opisanym ulica po ulicy, dom po domu, z drobiazgowością przyrodnika, z syntetycznym spojrzeniem myśliciela i umiłowaniem antykwarza, akcja romansów Balzaka obiega niemal krąg całej Francji, przenosi się to do Issoudun, to do Sancerre, Angoulême, Alençon, Guenic etc. i znaczy się szeregiem opisów wiążących poniekąd psychologicznie charakter tła z treścią wypadków. A gdyby nawet te opisy, te podmalowania były niekiedy nieco drobiazgowo, nieco nużące dla dzisiejszej naszej nerwowej niecierpliwości, chciejmy sobie w zamian uprzytomnić, jak doniosłe w rozwoju literatury współczesnej było to powołanie **rzeczy martwych**, otoczenia, przeszłości do współaktorstwa w wielkiej Komedii ludzkiej. Przypomnijmy sobie powieść przedbalzakowską w jej najcenniejszych egzemplarzach. Gdzie toczy się akcja *Adolfa*? Kolejno w Niemczech, w Czechach, w Polsce, w rzeczywistości jednak nigdzie, w przestrzeni, a raczej w tych kulisach, które służyły za ramę abstrakcyjnym klasycznego dramatu. Czym zajmuje się, czym żyje sam Adolf? Kocha lub nie kocha. Co stanowi źródło jego środków materialnych? Ojciec pełniący funkcje owej sakiewki dawnych romansów, której napełnianie co rano „złotem” należało do funkcji służącego. Co widzimy z Paryża lub z owej „Ameryki” w *Manon Lescaut*? Rys, który podkreślam, to bynajmniej nie krytyka tych dwu pięknych i głębokich książek; to tylko próba uzmysłowienia, jak olbrzymim krokiem naprzód staje się dzieło Balzaka w **instrumentacji** tej symfonii ludzkiej, jaką jest literatura. Następcy jego, przyswoiwszy sobie całą jego zdobycz, zręczniejszym nieraz piórem pousuwali wybujałości opisów, przezwyciężyli ciężkość faktury; ale Balzac rąbał drogę w dziewiczym lesie, nie miał czasu na gracowanie ścieżek.

Te liczne opisy miast i miasteczek francuskich składają się na galerię życia prowincji w jego najróżniejszych odcieniach: od poważnych w swej strupieszatej wielkości resztek feudalizmu, aż do beznadziejnej płaskości drobnego mieszczaństwa; wszystkie jednak te obrazy mają jedną wspólną cechę, cechę przygnębiającej martwoty i smutku. Dawny porządek społeczny, zakreślając szersze granice aspiracjom, sprawiał, iż najczęściej synowie wstępowali w ścieżki ojców; każde środowisko żyło własnym, wcale pełnym życiem. Nowe, zdemokratyzowane społeczeństwo, ugruntowane przez Napoleona, który powołał wszelki talent, bez różnicy hierarchii i urodzenia, do budowy nowej Francji, wabi, niby potężny magnes ciągnący opiłki żelaza, w stronę Paryża wszystko, co jest bujniejszego, rzutkiego, tęgiego w całym kraju. Stąd dwa obrazy, których kontrast

wyzyskuje Balzac w tylu utworach: Paryż przelewający się od talentu, fantazji i **nadczłowieczeństwa**, i prowincja, wyssana, wyjałowiona, szara, zamieszkała wyłącznie prawie przez niezdolnych do wyrwania się z niej ciurów. Ten zasadniczy charakter maluje się w utworach Balzaka w całej gamie odcieni, wciąż wzmacniając wrażenie, nie powtarzając się nigdy. Wystarczy zestawić powieść *Dwaj poeci* z tą *Muzą z zaścianka*: ile pokrewieństwa w sytuacji obu postaci kobiecych, a jaka precyzja w zróżniczkowaniu typu, środowiska, rasy, czyniąca z każdej z nich coś zupełnie odmiennego. Tylko najwięksi mistrze zdolni są do takich majstersztyków.

**Prowincja**, ten tak ulubiony temat późniejszych satyryków i powieściopisarzy, jest niemal wynalazkiem Balzaka. Spotykamy wprawdzie u tego wielkiego realisty, jakim był Moliere, zaznaczony w kilku słowach, ale jakże wyrazisty obrazek:

Do rodzinnego miasta męża w koczobryku  
Nowiutkim zajedziecie; tam poznasz bez liku  
Jego wujów, kuzynów, a gdy przyjdzie kolej,  
Pośród wielkiego świata zasiądziesz powoli.  
Będziecie odwiedzali w niedzielę i święta  
To panią burmistrzową, to pana rejenta,  
Gdzie na kanapie zajmiesz miejsce honorowe.  
W karnawale, co uciech! Wciąż rozkosze nowe:  
Bal, orkiestra złożona z kobzy, klarynetu,  
Czasem małpa uczona, marionetki, gdzie tu  
Znaleźć czas na rozkoszy tyle...

(*Tartufe*<sup>1</sup>, II, 3).

...ba, znajdziemy nawet u tegoż Moliera wizerunek prowincji w *Hrabinie d'Escarbagnas*, ale ta realistyczna żyła raczej gubi się w dalszym ciągu XVII i w XVIII wieku, ustępując miejsca psychologicznej abstrakcji, której dążeniem jest oczyścić **wieczne** elementy uczuć z **przypadkowości** zjawisk. Stąd, jak wspomniałem, akcja np. *Manon Lescaut* zawiązuje się na prowincji, toczy się w Paryżu, kończy w Ameryce, a mogłaby się tak samo rozgrywać na księżycu. Porównajmy z tym rysy psychologiczne, jakimi pobyt w tejsze Ameryce żłobi się w charakterze Filipa Bridau (*Kawalerskie gospodarstwo*), lub ową iście chemiczną reakcję, jaką przeniesienie z prowincji do Paryża powoduje w psychice Lucjana de Rubempré i pani de Bargeton (*Stracone złudzenia*).

Wspomniałem *Adolfa*. Zestawienie tym ciekawsze tutaj, ile że druga część tej małej, a tak bogatej w treść książeczki, *Muzy z zaścianka*, jest świadomą wariacją na temat<sup>2</sup> tegoż *Adolfa*: tym ściślej możemy tedy śledzić różnice techniki i znaczenie **ramy**, w jakiej Balzac mocno osadza osoby i akcję toczącego się dramatu. Lękam się, iż do znudzenia może podkreślam fakt, że wszystko niemal bez wyjątku, co nam się wydaje naturalnym **stanem posiadania** nowoczesnej powieści, jest wynalazkiem i zdobyczą Balzaka. Po co zresztą sięgać do dawnych wzorów? wystarczy przeczytać jakąś wybitną powieść z epoki współczesnej Balzakowi, np. *Pannę de Maupin* Gautiera albo *Lelię* George Sand.

Przy wielu drobniejszych zwłaszcza powieściach Balzaka doznaję uczucia podziwu: w jaki sposób potrafi on na tak małej przestrzeni pomieścić takie bogactwo treści i jeszcze pozwolić sobie na ten zbytek, aby... być rozwlekłym! I tak, w tej książeczce: akcja podejmująca na nowo temat *Adolfa* zaczyna się pod koniec utworu, a jest mimo to traktowana równie szeroko, jak drobiazgowo i wyczerpująco. Pierwsza połowa książki zawiera daleko w głąb idącą biografię obojga de La Baudraye

<sup>1</sup> *Tartufe* – Świętoszek; tytuł komedii Moliera i nazwisko jej głównego bohatera zostały w ten sposób przetłumaczone na polski. [przypis edytorski]

<sup>2</sup> *jest świadomą wariacją na temat (...)* – „Mam nadzieję, że w końcowej części *Muzy* publiczność ujrzy temat *Adolfa* ujęty od strony realnej”, pisze Balzac w korespondencji z Ewą Hańską (*Lettres à l'étrangère*, II, 126). [przypis tłumacza]

oraz ich pożycia, kilkadziesiąt zaś stron środka wypełniają opowiadania o zazdrosnych mężach, które istotnie znalazły się tu prawem kaduka, tak luźno są związane z treścią; wreszcie scena – paradna sama w sobie! – czytania romansu *Olimpia*, w który zawinięta była korekta dziennikarza. Ta scena wydaje mi się szczególnie interesująca, a oto czemu:

Podobnie jak wiele osób nie rozumie i nie docenia znaczenia Balzaka dziś, tak samo więcej ich jeszcze było za życia pisarza. Czytano go, rzecz prosta, chciwie, rozrywano dla felietonów, dodawano stale do jego nazwiska epitet, o który się wściekał, „najpłodniejszego z naszych romansopisarzy”; ale gdyby kto był powiedział przeciętnemu czytelnikowi, że ze wszystkich głośnych w owej epoce nazwisk największym, najbardziej spiszowym pozostanie nazwisko Balzaka, ten byłby może równie zdziwiony, jak Ludwik XIV, kiedy, zapytawszy Racine'a, kto był największym pisarzem za jego panowania, usłyszał, że – Molier<sup>3</sup>. Jak na Molierze ciążyła za życia „niższość” komedii w hierarchii **rodzajów**, tak Balzaka prześladowała niższość powieści. Gdyby był pisał – komedie, okrzyknięto by go geniuszem. Poczucie tego uprzedzenia było poniekąd przyczyną, iż Balzac przez całe życie, wbrew naturze swego talentu silił się opanować scenę.

Iluż dziś jeszcze jest ludzi tak poważnie myślących, iż „z zasady nie czytują powieści”, albo też, czyniąc to, mają uczucie, iż zstępują z wyżyn swej powagi! Znałem inteligentnego człowieka (był z zawodu aktorem), z tych właśnie którzy „z zasady nie czytają powieści”, tylko „rzeczy kształcące”, kształcił się bowiem wytrwale całe życie. Zastawszy go raz z książką w ręku, spojrziałem na okładkę; oczywiście rzecz poważna, kształcąca: Piotr Chmielowski, *Nasi powieściopisarze...* Koniec tego człowieka był, nawiasem wspomnę, godny współczucia; zaczął czytać Thiersa *Historię Konsulatu i Cesarstwa* w 70 tomach, że zaś należał do tych ludzi zasad, którzy czytają gruntownie i skoro raz coś zaczną, muszą doczytać do końca, już się biedak spod tego konsulatu i cesarstwa nie podźwignął. Żyje jeszcze.

Ale wróćmy do sceny z korektą. W epoce, gdy Balzac tworzył swoje arcydzieła, ta sama publiczność która przejmowała się *Ojcem Goriot* lub *Kawalerskim gospodarstwem*, chłonęła równocześnie z zachwytem *Montechrysta* Dumasa oraz *Tajemnice Paryża* Sue, nie zawsze oceniając przepaść, jaka dzieli te książki. Mam wrażenie, że Balzac, zniecierpliwiony tym koleżeństwem w poczytności i uznaniu, uczynił sobie zabawkę z tego, aby od niechcenia zaznaczyć, jak łatwo byłoby mu machać lewą ręką „zajmujące” romanse *à la Sue* i na czym polega różnica między powieścią a – powieścią.

Tego, iż mógłby być z łatwością rywalem autora *Olimpii* czyli *Tajemnic Rzymu*, dowiódł zresztą Balzac – nie przymnażając tym sobie chwały – w niejednym z własnych utworów. I on miał swoich „kardynałów Borborigano” i bez mała swoje klatki żelazne, wyjeżdżające za pociśnięciem guzika z podziemi. Niezmiernie ciekawym rysem indywidualności Balzaka jest owo zmaganie się w nim dwóch przeciwnych pierwiastków: **zmysłu rzeczywistości** o takim horyzoncie i głębi jak chyba u żadnego pisarza – oraz, z drugiej strony, pędu do ekstrawagancji wyobraźni, nieustępujących najwyubujalszym orgiom drugorzędnego romantyzmu. Na ogół można powiedzieć, iż twórczość Balzaka znamionuje proces dość częsty u wybitnych organizacji pisarskich: w dziełach, w których wznoszą się najwyżej i które są miarą pełni talentu, występują te właściwości, które ich różnią od danej epoki; z chwilą gdy – z jakichkolwiek powodów – inspiracja słabnie, pisarz osuwa się po linii mniejszego oporu w konwencję współczesnej mody lub w parodię samego siebie. A, jak wspomniałem nieraz, warunki tworzenia Balzaka były takie, iż nie zawsze wyobraźnia jego mogła odczekać chwili, w której po wydaniu dzieła spęcznieje świeżym sokiem. Tam, gdzie poczucie rzeczywistości łączy się harmonijnie z pędem do romantycznego wyolbrzymiania, powstają najwspanialsze kreacje Balzaka, jak np. niezrównany Vautrin w *Ojcu Goriot*. Niniejsza powieść o Dinie Piédefefer, przyczynek do obrazu świata literackiego, tak szeroko odmalowanego w *Straconych złudzeniach*, należy do utworów

<sup>3</sup> *gdyby kto był powiedział przeciętnemu czytelnikowi (...) Molier* – Charakterystycznym jest, że ani Moliera, ani Balzaka nie uznali współcześni godnymi zasiadania w **Akademii Francuskiej**. [przypis tłumacza]

zakreślonych na skromniejszą miarę, ale tym cennych, że na wskroś osobistych: mamy tu czystego Balzaka najlepszej próby, z całą jego werwą, bystrością, analizą psychologiczną, nieskażonego – jak w tylu wybitnych jego dziełach – naleciałościami wątpliwej proweniencji.

Te wycieczki w sferę satyry literackiej stanowią osobliwy wdzięk *Muzy z zaścianka*. Do nich należy i historia poematu o *Pakicie z Sewilli*; biografia nieistniejącego autora oraz hiszpańskie zabarwienie poematu przywodzą na pamięć *Teatr Klary Gazul*, tę głośną w owej epoce i udaną mistyfikację Merimée'go; zarazem utwór ten zawiera elementy niewinnej zresztą satyry na ów „koloryt lokalny” romantyków, którzy, zaczynając od Alfreda de Musset, na wyścigi opiewali płomienne córki Andaluzji i Wschodu, nie opuszczając zresztą ukochanych bulwarów Paryża.

Mam nadzieję, że ta żywa i zabawna powieść pogłębi jeszcze upodobanie, jakie polscy czytelnicy zaczynają na nowo znajdować w zapomnianych już u nas romansach Balzaka. Do zobaczenia – przy następnym.

*Kraków, w styczniu 1919*

## Muza z zaścianka

W prowincji Berry, nad brzegiem Loary, znajduje się miasto, które dzięki swemu położeniu niechybnie ściąga oko podróżnego. Sancerre jest najwynioślejszym punktem łańcucha pagórków; Loara oblewa grunty rozpościerające się u stóp tych wzgórz, zostawiając osad żółtego mułu, który je użyźnia, o ile nie zasypią ich na zawsze groźne ławice piasku, właściwe również Wiśle, tej Loarze Północy. Góra, na której szczycie skupiło się miasto, wznosi się w dość znacznej odległości od rzeki, czemu zawdzięcza życie mały port św. Tybalda. Tam ładuje się wino, wyładowuje klepki do beczek, słowem, wszystkie produkty dolnej i górnej Loary. W epoce, która służy za tło temu opowiadaniu, rzucono przez rzekę dwa mosty. Podróżni przybywający z Paryża nie potrzebowali się już przeprawiać z Cosne do św. Tybalda na promie: czyż to nie mówi jasno, że działo się to już po *chassé-croisé* roku 1830; Orleani bowiem wspierali wszędzie interesy materialne, ale mniej więcej tak, jak mężowie, którzy robią podarki żonom za pieniądze z ich posagu.

Wyjawszy część Sancerre na samym wzgórzu, ulice są mniej lub więcej spadziste; całe miasto otoczone jest szanćcem, poza którym ciągnie się pas winnic. Winnice stanowią główny przemysł i najznacniejszy handel kraju posiadającego kilka gatunków wysokiego wina, o szlachetnym **bukiecie**. Wino to tak podobne jest w smaku do burgunda, iż przeciętny paryżanin może się omylić. Sancerre znajduje tedy w traktierniach paryskich szybki zbyt, konieczny zresztą dla win, które nie trzymają się ponad siedem do ośmiu lat. Powyżej miasta rozsiadło się kilka wsi, Fontenay, Saint-Satur, charakterem pogodne, przypominające winnice Neuchâtel w Szwajcarii. Miasto zachowało coś staroświeckiego; wąskie ulice brukowane są kamykami z Loary. Spotyka się jeszcze stare domy. Wieża, ten szczątek epoki wojen i feudalizmu, przypomina jedno z najstraszniejszych oblężeń z czasu walk religijnych, podczas którego kalwini nasi o wiele przewyższyli okrucieństwem kameronistów Walter-Scotta. Sancerre, bogate świetną przeszłością, niegdyś ważna placówka wojskowa, jest poniekąd skazane na wymarcie, ponieważ handel skupił się na prawym brzegu Loary. Ten pobieźny rzut oka dowodzi, że upadek Sancerre będzie postępował, mimo dwóch mostów łączących je z Cosne. Sancerre, duma lewego brzegu, ma zaledwie trzy tysiące pięćset dusz, gdy Cosne liczy dziś przeszło sześć tysięcy. Od pół wieku rola tych dwu miast położonych naprzeciw siebie zmieniła się doszczętnie. Mimo to, przewaga położenia jest po stronie historycznego grodu, gdzie na wszystkie strony oko syci się czarownym widokiem, gdzie powietrze jest cudownie czyste, roślinność wspinała, mieszkańcy zaś, w harmonii z lubą przyrodą, są uprzejmi, towarzyscy, wolni od purytanizmu, mimo że dwie trzecie ludności trwa przy nauce Kalwina. W podobnym stanie rzeczy, o ile dają się we znaki utrapienia małomiasteczkowego obyczaju, ucisk tej natrętej kontroli, która czyni z życia prywatnego życie niemal publiczne, w zamian za to, patriotyzm lokalny (który nie zastąpi jednak nigdy ducha rodzinnego) rozwija się w wysokim stopniu. Toteż Sancerre bardzo jest dumne, iż było kolebką jednej z chwał nowoczesnej medycyny, Horacego Bianchon, oraz drugorzędnego literata, Stefana Lousteau<sup>4</sup>, jednego z najbardziej wziętych felietonistów. Okręg Sancerre, podrażniony oligarchią dziesiątka wielkich właścicieli, potentatów wyborczych, próbował strząsnąć jarzmo kliki, która uczyniła zeń swoją placówkę. To sprzysiężenie kilku podrażnionych ambicji spaliło na panewce, a to z powodu zazdrości, jaką budziło w spiskowcach możliwe wyniesienie jednego z nich. Skoro rezultat ujawnił zasadniczy szkopuł przedsięwzięcia, chciano mu zaradzić, biorąc przy najbliższych wyborach na rzecznika okręgu jednego z dwóch ludzi przedstawiających chlubnie Sancerre w Paryżu.

---

<sup>4</sup> *Bianchon (...) Lousteau* – Bianchon, lekarz, jeden z umiłowanych typów Balzaka, występuje epizodycznie w całym szeregu jego powieści; tak samo Stefan Lousteau, dziennikarz, w którym współcześni dopatrywali się wielu rysów głośniego krytyka Juliusza Janin, ale który, jak tego dowodzi wyraźna wzmianka samego Balzaka w korespondencji z panią Hańską, raczej wzorowany jest na Juliuszu Sandeau (por. *Ojciec Goriot, Córka Ewy, Stracone złudzenia* etc.). [przypis tłumacza]

Myśl ta była czymś nadzwyczaj postępowym dla prowincji, gdzie od 1830 obdarzanie mandatem zaściankowych znakomitości rozpowszechniło się tak bardzo, iż mężowie stanu stają się w Izbie coraz rzadsi. Jakoż projektowi temu o dość wątpliwej realizacji dała życie najwybitniejsza kobieta w okolicy, *dux femina facti*, i to w myśli mającej za tło interes osobisty. Pomysł ten tkwi tyłoma korzeniami w przeszłości tej kobiety i wiąże się tak ściśle z jej przyszłością, iż trudno byłoby go zrozumieć bez żywego i zwięzłego opowiedzenia jej poprzednich losów. Sancerre chlubiło się wówczas kobietą wyższą, długo niezrozumianą, ale która około roku 1836 cieszyła się wcale ładnym prowincjonalnym rozgłosem. Epoka ta była też momentem, w którym nazwiska dwóch sancerczyków dosięgnęły w Paryżu, każde w swojej sferze, najwyższego szczytu, jedno sławy, drugie mody. Stefan Lousteau, współpracownik kilku pism, redagował felieton w dzienniku liczącym osiem tysięcy abonentów; Bianchon zaś, już prymariusz szpitala, oficer Legii Honorowej i członek Instytutu, otrzymał właśnie katedrę. Gdyby to słowo nie zawierało dla wielu osób odcienia ironii, można by rzec, iż George Sand stworzyła **sandyzm**; tak dalece prawdą jest, iż w świecie moralnym dobre prawie zawsze podszyte jest złem. Ten sentymentalny trąd skaził wiele kobiet, które bez swoich pretensji do geniuszu byłyby urocze. Owóż głównym następstwem sławy George Sand było odkrycie, iż Francja posiada olbrzymią ilość kobiet wyższych, dość szlachetnych, aby pozostawiać aż dotąd wolne pole wnuczce Maurycego Saskiego<sup>5</sup>. **Wyższa kobieta** z Sancerre mieszkała w Baudraye, siedzibie miejskiej i wiejskiej zarazem, położonej o dziesięć minut od miasta, we wsi lub, jeśli chcecie, na przedmieściu Saint-Satur. Dzisiejsi La Baudraye – przeobrażenie takie zaszło w wielu szlacheckich domach – wcisnęli się w miejsce owych La Baudraye, których imię błyszczący w wojnach krzyżowych i splata się z wielkimi wydarzeniami prowincji Berry. To wymaga wyjaśnienia.

Za Ludwika XIV pewien ławnik nazwiskiem Milaud, którego przodkowie byli zażartymi kalwinami, nawrócił się po odwołaniu edyktu nantejskiego. Aby zachęcić ten ruch w jednej z ostoi kalwinizmu, król powołał tego Milauda na wysokie stanowisko w zarządzie wód i lasów, nadał mu herb i tytuł de La Baudraye, obdarowując go lennem prawdziwych i starych La Baudraye. Spadkobiercy słynnego kapitana La Baudraye wpadli, niestety, w pułapkę zastawioną heretykom za pomocą edyktów tolerancyjnych i skończyli na szubienicy: postępowanie niegodne wielkiego króla. Pod Ludwikiem XV Milaud de La Baudraye z prostego giermka został rycerzem i miał na tyle wpływów, aby umieścić syna jako korneta w kompanii muszkietarów. Kornet padł pod Fontenoy, zostawiając syna, któremu Ludwik XVI nadał później dekret generalnego dzierżawcy przez pamięć poległego na polu bitwy korneta.

Ten finansista, galant zajęty szaradami, madrygałami, **bukietami Chlorydy** żył w wielkim świecie, obracał się w kółku księcia de Nivernois i czuł się w obowiązku pociągnąć ze szlachtą na wygnanie; ale był na tyle przezorny, iż uniósł z sobą kapitały. Toteż bogaty emigrant wspomógł wówczas niejedyn dom magnacki. Zmęczony tułaczką, a może pożyczaniem, wrócił w 1800 do Sancerre i odkupił La Baudraye. Odruch ten miłości własnej i próżności szlacheckiej zrozumiały był u wnuka ławnika, ale za konsulatu, miał on o tyle mniej przyszłości, iż eks-dzierżawca generalny mało liczył na swego spadkobiercę co do utrwalenia rodu La Baudraye. Jan Atanazy Polidor Milaud de La Baudraye, jedyne dziecko finansisty, więcej niż wątle od urodzenia, był widowym owocem krwi wcześniej wyczerpanej przez nadmierne użycie właściwe ludziom bogatym, którzy zenią się na progu przedwczesnej starości i tym w końcu doprowadzają wyższe klasy do zwyrodnienia. Podczas emigracji pani de La Baudraye, panienka bez majątku, poślubiona dla swego szlachectwa, miała tę cierpliwość, aby wychować żółte i chuderlawe dziecko, dla którego żywiła ową namiętą miłość, jaką matki znajdują w sercu dla cherlaków. Śmierć tej kobiety, z domu de Castéran la Tour, przyczyniła się znacznie do powrotu pana de La Baudraye do Francji. Ten Lukullus z pokolenia Milaudów umarł, zapisując synowi swoje lenno bez jego praw pańskich, ale zdobne herbami i chorągiewkami, dalej tysiąc luidorów, sumę dość znaczną w 1802, i wiarygodności u najdostojniejszych emigrantów,

<sup>5</sup> wnuczka Maurycego Saskiego – George Sand. [przypis tłumacza]

zamknięte w teczce z własnymi poezjami, pod tym godłem: *Vanitas vanitatum et omnia vanitas!* Jeżeli młody La Baudraye się uchował, zawdzięczał to klasztornej regularności życia, owej oszczędności ruchu, którą Fontenelle głosi jako religię ludzi wątplych, a zwłaszcza powietrzu Sancerre, wpływowi tego cudownego położenia, którego panorama obejmuje czterdzieści mil doliny Loary. Od 1802 do 1815 mały La Baudraye powiększył swoje eks-lenno o kilka folwarków, i oddawał się zapamiętałe hodowli wina. W początkach Restauracja wydała mu się tak chwiejna, iż nie miał odwagi jechać do Paryża upominać się o wiarygodności; ale po śmierci Napoleona próbował zmienić poezje ojca w brzęczącą walutę, nie zrozumiał bowiem głębokiej filozofii wyrażonej tą mieszaniną obligów i szarad. Winiarz stracił tyle czasu, nim się dostał przed oblicze książąt de Navarreins i **tym podobnych** (to jego wyrażenie), iż wrócił do Sancerre wezwany przez swoje ukochane wino, nie uzyskawszy nic, prócz gotowości do usług. Restauracja wróciła szlachcie dosyć blasku, aby La Baudraye zapragnął dać sens swej ambicji, zapewniając sobie potomka. Ten rezultat małżeństwa wydawał mu się dość problematyczny; inaczej nie byłby się tak ociągał; ale pod koniec 1823, widząc się jeszcze na nogach w czterdziestym trzecim roku – wiek, którego żaden lekarz, astrolog ani akuszerka nie śmieliby mu wróżyć – zapalał nadzieją znalezienia nagrody swej wytrwałej cnoty. Jednakże wybór jego ujawnił, zważywszy wątplą przyrodę nowożeńca, taki brak przezorności, iż niepodobna było miejscowym złym językom nie dopatrywać się w tym głębokiego wyrachowania.

W tej epoce Jego Eminencja arcybiskup z Bourges nawrócił właśnie na katolicyzm młodą osobę należącą do jednej z tych mieszczańskich rodzin, które były głównymi podporami kalwinizmu i które dzięki swemu podrzędnemu stanowisku lub dzięki „porozumieniu z niebem”<sup>6</sup> uniknęły prześladowań Ludwika XIV. Wyszedłszy w XVI w. z rękodzielników, Piédeferowie – których nazwisku dał początek jeden z owych dziwacznych przydomków, jakie sobie przybierali żołnierze Reformy – stali się z czasem uczciwymi sukiennikami. Za Ludwika XVI Abraham Piédefer tak lichy pokierował swoje interesy, iż w 1786, umierając, zostawił dwoje dzieci w stanie bliskim nędzy. Jeden z chłopców, Tobiasz Piédefer, puścił się do Indii, zdając skromne dziedzictwo starszemu bratu. Podczas Rewolucji, Mojżesz Piédefer skupował **dobra narodowe**, burzył opactwa i kościoły wzorem swoich przodków i ożenił się, rzecz osobliwa, z katoliczką, córką członka konwentu, który zginął na rusztowaniu. Ten ambitny Piédefer umarł w 1819, zostawiając żonie majątek nadwreżony spekulacjami rolniczymi i dwunastoletnią córeczkę zdumiewającej piękności. Wychowana w kalwinizmie, dziewczynka otrzymała imię Diny, zgodnie z zasadą, wedle której hugonoci czerpią swoje imiona w Biblii, aby nie mieć nic wspólnego ze świętymi rzymskiego Kościoła. Panna Dina Piédefer, umieszczona przez matkę w najlepszym pensjonacie w Bourges u panien de Chamarolles, zyskała tam sławę zarówno dzięki swoim przymiotom, co dzięki piękności; ale spostrzegła równocześnie, iż zasuwa ją w cień młode panny „urodzone”, bogate, mające później w świecie odgrywać daleko świetniejszą rolę niż mała mieszcza, której matka czekała na rezultaty męzowskiej likwidacji. Zdoławszy się wynieść chwilowo nad młode towarzyski, Dina zapragnęła także w życiu znaleźć się z nimi na równej stopie. Wpadła tedy na pomysł wyrzeczenia się kalwinizmu w nadziei, iż kardynał otoczy opieką swą duchową zdobycz i zajmie się jej przyszłością. Możecie już stąd osądzić rozumek panny Diny, która w siedemnastym roku nawracała się wyłącznie przez ambicję. Arcybiskup przepojony ideą, że Dina Piédefer stanie się ozdobą świata, próbował ją wyswatać. Wszystkie rodziny, do których prałat się zwracał, przelewały się dziewczyny z wzięciem księżniczki, która uchodziła za najzdolniejszą wychowanicę panien de Chamarolles i która podczas teatralnych nieco uroczystości rozdawania nagród odgrywała zawsze pierwszą rolę. To pewna, iż tysiąc talarów renty, jakie mogło przynosić La Hautoy – niepodzielna własność matki i córki – było drobiazgiem w porównaniu do wydatków, do jakich pociągnęłyby męża osobiste przymioty tak świetnej żony.

<sup>6</sup> „porozumienie z niebem” – Znany cytat z *Tartufe'a* Moliera (*Il-y-a avec le ciel des accommodements*). [przypis tłumacza]

Skoro mały Polidor de La Baudraye dowiedział się tych szczegółów, o których rozprawiano szeroko w całym departamencie, udał się do Bourges w chwili, gdy pani Piédefefer, dewotka na wielki kamień, była, zarówno jak jej córka, mniej więcej gotowa przyjąć, jak to mówią, pierwszego z brzegu psa. Jeżeli kardynał był bardzo szczęśliwy, że trafił na pana de La Baudraye, pan de La Baudraye był jeszcze szczęśliwszy, iż otrzymuje żonę z rąk kardynała. Spryciarz zażądał od Jego Eminencji stanowczej obietnicy poparcia u prezydenta ministrów co do zrealizowania wierzytelności książąt de Navarreins i **tym podobnych**, a to drogą zajęcia odszkodowań. Sposób ten wydał się zręcznemu ministrowi z **pałacyku Marsan** nieco ostry: uwiadomił winiarza, że zajmie się nim w swoim czasie i miejscu. Można sobie wyobrazić, jaki hałas wywołało w Sancerre i okolicy szalone małżeństwo pana de La Baudraye.

– To się tłumaczy – mówił prezydent Boirouge – podobno człeczyna uczuł się bardzo niemile dotknięty, słysząc, jak piękny Milaud, podprokurator z Nevers, mówił do pana de Clagny, pokazując mu wieżyczki La Baudraye: „Dojrzewa dla mnie!”. „Ależ”, odpowiedział nasz prokurator, „toć może się jeszcze ożenić i mieć dzieci”. „Doktor mu nie pozwala!”. Możecie sobie wyobrazić nienawiść, jaką taki wyskrobek jak La Baudraye musiał powziąć do tego kolosa Milaud.

Istniała w Nevers mieszczańska gałąź Milaudów, którzy uprawiając handel nożowniczy, wzbogacili się dostatecznie, aby przedstawiciel tej linii mógł się chwycić kariery w służbie państwowej.

Może będzie dobrze oczyścić tę opowieść, w której czynniki moralne odgrywają dużą rolę, z niskich interesów materialnych, którymi zaprzętał się wyłącznie pan de La Baudraye: opowiemy tedy zwięzłe wyniki jego zabiegów w Paryżu. To zresztą wytłumaczy wiele tajemniczych szczegółów historii współczesnej oraz podziemne trudności, jakie napotykali na terenie politycznym ministrowie za Restauracji. Przynależności ministerialne okazały się tak zwodnicze, iż pan de La Baudraye udał się do Paryża w chwili, gdy posiedzenia Izby powołały tam kardynała. Oto jak książę de Navarreins, pierwszy wierzyciel zaczepiony przez pana de La Baudraye, wywinął się ze sprawy. Pewnego ranka w hotelu de Mayence, gdzie ulokował się nasz prowincjał, zjawił się konfident ministerialny, który zęby zjadł na likwidacjach. Wytworna ta osobistość przybyła w wytwornym kabriolecie i odziana jak najwytworniej, zmuszona była drapać się aż pod numer 37, to znaczy na trzecie piętro, do pokoiku, gdzie winiarz pitraśił na kominku szklanekę kawy.

– Czy z panem Milaud de La Baudraye mam zaszczyt...

– Tak – odparł mały człowieczek, zawijając się w szlafrok.

Obejrawszy przez lornetkę ten kazirodczy produkt starej narzutki *chiné* pani Piédefefer oraz sukni nieboszczki pani de La Baudraye, pośrednik uznał człowieka, szlafrok i mały gliniany garnczek, w którym gotowało się mleko w cynowej rynce za zjawisko tak charakterystyczne, iż wszelkie finezje wydały mu się zbyteczne.

– Założę się, drogi panie – rzekł obcesowo – że jada pan obiady po czterdzieści su u Urbana w *Palais-Royal*.

– Czemuż to?...

– Och, przypominam sobie, że pana tam widziałem – odparł z całą powagą paryżanin. – Wszyscy wierzyciele książąt tam jadają. Wiadomo panu, iż zaledwie można uzyskać dziesięć za sto za obliży największych panów... Nie dałbym ani pięć za sto za obliży nieboszczyka księcia Orleanu, a nawet... – zniżył głos – za obliży Jegomości...

– Przychodzi pan odkupić moje prawa... – rzekł winiarz, sądząc, iż odgadł przybysza.

– Odkupić! – odparł – Za kogo mnie pan bierze? Jestem des Lupeaulx, referendarz stanu, generalny sekretarz ministerium i przychodzę ofiarować panu układ.

– Jaki?

– Nie jest panu obce, drogi panie, położenie pańskiego dłużnika...

– Moich dłużników...

– Więc dobrze, zna pan położenie swoich dłużników, cieszą się łaską króla, ale są goli, a zmuszeni do reprezentacji... Nie są panu tajne trudności polityki, której zadaniem jest odbudować arystokrację wobec potężnego wzrostu trzeciego stanu. Myślą króla, którego Francja sądzi bardzo niesprawiedliwie, jest stworzyć za pomocą Izby Parów instytucję narodową, analogiczną do tej, którą posiada Anglia. Aby urzeczywistnić tę wielką myśl, trzeba nam lat i milionów... Szlachectwo obowiązuje. Książę de Navarreins, który, jak panu wiadomo, jest pierwszym Ochmistrem Dworu, nie przeczy swego długu, ale nie może... (Bądź pan rozsądny... Oceń położenie polityczne. Wychodzimy z otchłani rewolucji. I pan jesteś szlachcicem!)... zatem, nie może płacić...

– Mój panie...

– Pan jest nagły – rzekł des Lupeaulx – posłuchaj pan... nie może zapłacić pieniędzmi; otóż, jako człowiek mający głowę na karku, zrealizuj pan swoją należność w faworach... ministerialnych lub królewskich...

– Jak to! Mój ojciec wyłożył w 1793 sto tysięcy...

– Drogi panie, niech się pan nie zacieka. Posłuchaj pan tego zrównania arytmetyki politycznej. Wakuje posada poborcy w Sancerre, dawny generalny kasjer armii ma do niej prawo, ale nie ma widoków; pan masz widoki, a nie masz żadnych praw: pan otrzymasz posadę. Będziesz ją piastował przez trzy miesiące, podasz się do dymisji, a pan Gravier da panu za nią dwadzieścia tysięcy. Co więcej, otrzymasz krzyż Legii Honorowej.

– To już coś – rzekł winiarz o wiele bardziej znęcony sumą niż wstążeczką.

– Ale – rzekł des Lupeaulx – w uznaniu łask Jego Ekscelencji, zwrócisz pan Jego Dostojności księciu de Navarreins wszystkie jego obligi...

Winiarz wrócił do Sancerre jako poborca. W pół roku miejsce jego zajął pan Gravier, który uchodził za jednego z najbardziej czarujących finansistów Cesarstwa i którego oczywiście pan de La Baudraye przedstawił żonie. Przystawszy być poborcą, pan de La Baudraye wrócił do Paryża, aby traktować z innymi dłużnikami. Tym razem mianowano go referendarzem, baronem i oficerem Legii. Sprzedawszy znowuż posadę, baron de La Baudraye złożył parę wizyt swoim ostatnim dłużnikom i wrócił do Sancerre z tytułem radcy stanu, z posadą komisarza królewskiego przy jakiejś spółce przemysłowej w Nivernais, z płacą sześciu tysięcy franków rocznie, czysta synekura! Niepokazny La Baudraye, który – zdaniem ogółu – z finansowego punktu widzenia popełnił szaleństwo, zrobił tedy na swym małżeństwie doskonały interes. Dzięki brudnej oszczędności oraz odszkodowaniu za majątki ojca sprzedane z ramienia Rewolucji w roku 1793 człeczyna urzeczywistnił około roku 1827 marzenie swego życia! Dając czterysta tysięcy franków w gotówce i zaciągając zobowiązania, które skazywały go, wedle jego wyrażenia, na życie przez sześć lat powietrzem, zdołał kupić nad brzegiem Loary, dwie mile powyżej Sancerre dobra d'Anzy, których wspaniały zamek, zbudowany przez Filiberta de Lorme, jest przedmiotem słusznego podziwu znawców: majątek, który przeszło od pięciuset lat należał do domu d'Uxelles. Wreszcie dostał się między wielkich właścicieli! Nie jest pewne, czy radość z utworzenia majoratu, złożonego z dóbr Anzy, **lenna** La Baudraye i posiadłości La Hautoy (na mocy patentu królewskiego z grudnia 1820) wynagrodziła utrapienia Diny, która zmuszona była aż do roku 1835 żyć w tajonym niedostatku. Przezorny La Baudraye nie pozwolił żonie mieszkać w Anzy ani też czynić tam najmniejszych zmian przed ostatnią ratą. Ten rzut oka na politykę pierwszego barona de La Baudraye tłumaczy całego człowieka. Ci, którzy znają manie mieszkańców prowincji, poznają w nim **namiętność ziemi**, namiętność zachłanną, wyłączną, która często prowadzi do ruiny przez brak równowagi między ciężarami hipotecznymi a dochodami. Ludzie, którzy od roku 1802 do 1827 drwili sobie z małego La Baudraye, widząc go drepcącego do Saint-Thibaud i krzającego się z zabiegliwością mieszczucha żyjącego ze swej winnicy, którzy nie rozumieli jego lekceważenia faworów oraz posad opuszczanych prawie natychmiast po ich uzyskaniu,

pochwycili wreszcie słowo zagadki, skoro ta *formica-leo* rzuciła się na ofiarę, wyczekawszy chwili, gdy rozrzutność księżnej de Maufrigneuse<sup>7</sup> doprowadziła do sprzedaży tego wspaniałego majątku.

Pani Piédefer osiadła przy córce. Połączone majątki pana de La Baudraye i teściowej, która, odstępując zięciowi La Hautoy, zadowolona się rentą tysiąca dwustu franków, stworzyły razem dochód około piętnastu tysięcy. W pierwszej dobie małżeństwa Dina uzyskała zmiany, które uczyniły z La Baudraye dom nader miły. Stworzyła angielski ogród z olbrzymiego dziedzińca, burząc lamusy, tłocznie i szpetne szopy. Zachowała, poza zameczkiem, małą budowlę z wieżyczkami i zębatym dachem, niepozbawioną charakteru, drugi ogród ze starodrzewiem, kwiatami, trawnikami i oddzieliła go od winnic murem, który ukryła pod pnącymi roślinami. Słowem, wprowadziła w życie domowe tyle wykwintu, na ile pozwalały szczupłe dochody. Aby się nie dać poznać młodej osobie równie niepospolitej, na jaką się zapowiadała Dina, pan de La Baudraye umiał chytrze przemilczeć przed nią zdobycze wypraw paryskich. Ten głęboki sekret, jakim pokrywał swoje interesy, dawał jego charakterowi coś tajemniczego i sprawił, iż urosł w oczach żony w pierwszych latach małżeństwa, tyle majestatu kryje w sobie milczenie! Zmiany w La Baudraye obudziły ochotę oglądania młodej oblubienicy tym żywszą, iż Dina nie chciała się pokazać, ani też zacząć przyjmować wprzód, aż nie zdobędzie wszystkich wygód, nie wystudiuje okolicy, a zwłaszcza milczącego małżonka. Kiedy w wiosenny poranek 1825 roku ujrzano na promenadzie w Mail piękną panią La Baudraye w aksamitnej sukni niebieskiej, matkę zaś jej w aksamitnej sukni czarnej, wielki krzyk podniósł się w całym Sancerre. Tualeta ta potwierdziła wyższość młodej osoby, wychowanej w stolicy Berry. Obawiano się przewagi inteligencji i dowcipu tego prowincjonalnego feniksa; co za tym idzie, wszyscy wspinali się na palce wobec pani de La Baudraye; szerzyła formalny postrach wśród żeńskiego stadka. Skoro mieszkańcom okolicy dane było podziwiać w La Baudraye dywan naśladowujący kaszmir, złożone meble Pompadour, brokatowe portiery, a na okrągłym stoliku japoński wazonik z kwiatami pośród kilku nowych książek; kiedy usłyszano piękną Dinę grającą *prima vista* na fortepianie i to bez najmniejszych certacji, pojęcie o jej wyższości urosło do wielkich rozmiarów. Aby nie dać się zmóc zaniedbania i złemu smakowi, Dina postanowiła pilnie informować się o stanie mody i najdrobniejszych wynalazkach zbytku, utrzymując żywą wymianę listów z Anną Grossetête, przyjaciółką od serca z pensjonatu. Jedyna córka generalnego poborcy z Bourges, Anna, zaślubiła dzięki swemu majątkowi trzeciego syna hrabiego de Fontaine. Kobiety bywające w La Baudraye czuły się tedy stale upokorzone pierwszeństwem, jakie Dina umiała sobie zdobyć w kwestiach mody; co bądź czyniły, zawsze były w tyle, zawsze, jak mówią miłośnicy wyścigów, **zdystansowane**. O ile już te drobiazgi zrodziły zawiść u pań z Sancerre, rozmowa i dowcip Diny obudziły prawdziwą niechęć. W pragnieniu utrzymania swej inteligencji na wyżynach paryskiego ruchu, pani de La Baudraye nie znosiła u nikogo czczego obracania językiem ani przestarzałych galanterii, ani frazesów bez treści; wręcz odmówiła współnictwa w mieleniu ploteczek, w owej płaskiej obmowie, która stanowi treść języka prowincji. Lubiła mówić o odkryciach nauki, o sztuce, o dziełach, które świeżo zakwitły w teatrze, w poezji; słowem, zdawała się poruszać myśli, poruszając modne wówczas słowa.

Ksiądz Duret, proboszcz Sancerre, sędziwy zabytek dawnego kleru, człowiek obyty w świecie, posiadający słabostkę do kart, nie śmiał jej dawać folgi w miasteczku tak liberalnym jak Sancerre; uszczęśliwiony był tedy z przybycia pani de La Baudraye, z którą porozumiał się doskonale. Podprefekt, wicehrabia de Chargeboeuf, był oczarowany, znajdując w salonie pani de La Baudraye oazę wytchnienia wśród prowincjonalnej stęchlizny. Co się tyczy prokuratora, pana de Clagny, uwielbienie dla pięknej Diny przykuło go do Sancerre. Czuły ten urzędnik odrzucał wszelki awans i rozkochał się aż do adoracji w aniele piękności i dobroci. Był to wysoki i suchy człowiek o nieregularnej twarzy ozdobionej parą straszliwych oczu, o ciemnych oczodołach, nad którymi stroszyły się olbrzymie krzaczaste brwi; wymowa jego, bardzo różna od jego miłości, nie była pozbawiona energii. Pan Gravier był to pulchny i pękaty człowieczek, który za Cesarstwa cudownie

<sup>7</sup> księżna de Maufrigneuse – [por.] *Sekrety księżnej de Cadignan, Gabinet starożytności* etc. [przypis tłumacza]

śpiewał romance i temu talentowi zawdzięczał wybitny posterunek generalnego kasjera armii. Wmieszany w ważne interesy w Hiszpanii wraz z pewnymi generałami należącymi wówczas do opozycji, umiał wyzyskać te parlamentarne koneksje wobec ministra, który przez wzgląd na jego straconą pozycję przyrzekł mu posadę poborcy w Sancerre i kazał mu ją w końcu odkupić. Dowcip i elegancja z czasu Cesarstwa ociążały w panu Gravier; nie rozumiał lub nie chciał rozumieć olbrzymiej różnicy, jaka dzieliła Restaurację od Cesarstwa, ale uważał się za coś o wiele wyższego od pana de Clagny, lepiej się ubierał, podążał za modą, nosił się w żółtej kamizelce, szarych pantalonach, w obcisłych rajtroczkach, miał modne jedwabne krawaty z pierścionkiem; gdy prokurator nie rozstawał się z frakiem i kamizelką, i czarnymi, często dość wyświechtanymi pantoflami.

Te cztery osobistości pierwsze zachwyciły się wykształceniem, smakiem, sprytem Diny i ogłosiły jej wysoką inteligencję. Wówczas kobiety rzekły między sobą: „Pani de La Baudraye musi się bawić naszym kosztem...”. Mniemanie to, mniej lub więcej prawdziwe, miało ten rezultat, iż wstrzymywało kobiety od bywania w La Baudraye. Obwiniona i potępiona za pedantyzm, ponieważ wyrażała się poprawnie, Dina zyskała przydomek **Safony z Saint-Satur**. Wszyscy zaczęli sobie w końcu drwić bezwstydnie z rzekomych przymiotów tej, która stała się postrachem kobiet w Sancerre. Posunięto się aż do zaprzeczania wyższości, zupełnie względnej zresztą, która podkreślała ignorancje i nie przebaczała ich. Kiedy wszyscy są garbaci, zgrabna kibić staje się potwornością; patrzono tedy na Dinę jak na niebezpieczne monstrum, uczyniła się dokoła niej pustka. Zdziwiona, iż mimo zachęty z jej strony kobiety odwiedzają ją rzadko i jedynie na kilka minut, Dina spytała pana de Clagny o powód tego zjawiska.

– Jest pani istotą nazbyt wyższą, aby kobiety panią lubiły – odparł prokurator.

Pan Gravier, do którego biedna samotnica zwróciła się również, dał się niezmiernie długo prosić, nim odpowiedział:

– Ależ, piękna pani, nie zadowalasz się, że jesteś prześliczna, jesteś przy tym dowcipna, wykształcona, czytana, kochasz poezję, uprawiasz muzykę i rozmawiasz jak anioł: kobiety nie przebaczą tyłu zalet!...

Mężczyźni powtarzali panu de La Baudraye: „Pan, który masz za żonę kobietę wyższą, jesteś bardzo szczęśliwy...”. I on sam w końcu powtarzał: „Ja, który mam za żonę kobietę wyższą, jestem bardzo etc.”.

Pani Piédefer, głaskana w macierzyńskiej próżności, pozwalała sobie również na odezwania w rodzaju: „Moja córka, która jest kobietą bardzo niepospolitą, pisała wczoraj do pani de Fontaine to i to”.

Ktoś, kto zna świat, Francję, Paryż, czyż nie patrzył na to, jak wiele reputacji utworzyło się w ten sposób?

Po upływie dwu lat, pod koniec roku 1825, obwiniano Dinę de La Baudraye, iż przyjmuje jedynie mężczyzn; w końcu poczytano jej za zbrodnię, że stroni od kobiet. Żaden jej nawet najbardziej obojętny postępek nie uniknął krytyki albo fałszywej interpretacji. Uczyniwszy wszystkie poświęcenia, jakie dobrze wychowana kobieta mogła uczynić, aby zaspokoić wymagania grzeczności, pani de La Baudraye popełniła tę nieostrożność, iż fałszywej przyjaciółce, która przyszła ubolewać nad jej samotnością, odpowiedziała: „Ostatecznie wolę niech moja szklanka będzie próżna niż pełna lada czego”. Te słowa wywarły w Sancerre straszliwe wrażenie; obrócono je później okrutnie przeciw Safonie z Saint-Satur, kiedy widząc ją bezdzietną po pięciu latach małżeństwa, zaczęto sobie dworować z małego de La Baudraye. Aby dobrze zrozumieć ten prowincjonalny koncept, trzeba przypomnieć pamięci tych, co go znali, posła de Ferrette, o którym mówiono, że jest to człowiek najodważniejszy w Europie, ponieważ ośmiela się chodzić na własnych nogach; pomawiano go też, iż kładzie ołów do trzewików, aby go wiatr nie porwał. Pana de La Baudraye, małego, żółtego i przeźroczyściego człowieczka, poseł de Ferrette mógłby wziąć za szambelana, gdyby ten dyplomata był samym księciem badeńskim, zamiast być tylko jego ambasadorem. Pan de La Baudraye, który miał nogi tak cieniutkie, iż nosił dla przyzwoitości fałszywe łydki; którego uda podobne były do

ramienia dość tęgiego mężczyzny; którego tors odtwarzał dość wiernie kadłub chrabąszcza, byłby dla posła Ferrette przedmiotem nieustannej pociechy. Kiedy szedł, łydki przekręcały mu się często na golenie, tak mało z nich robił tajemnicy: dziękował temu, kto go przestrzegł o tej drobnej niedokładności. Zachował dawną modą krótkie majtki, czarne jedwabne pończochy i białą kamizelkę aż do roku 1824. Ożeniwszy się, zaczął nosić błękitne pantalony i buty na obcasach, wskutek czego całe Sancerre powtarzało, iż przykładał sobie dwa cale, aby sięgnąć podbródka żony. Widziano go dziesięć lat z rzędu w tej samej zielonkawej surducinie z wielkimi cynowymi guzami, w czarnej krawatce, która uwydatniała zimną i drobną twarz, oświeconą stalowo-niebieskimi oczami, chytrymi i spokojnymi jak oczy kota. Łagodny, jak wszyscy ludzie, którzy mają wytknięty plan, na pozór był bardzo dobry dla żony; nie sprzeciwiał się jej w niczym, zostawiał jej prawo głosu; zadowalał się tym, że robił swoje, działając z powolnością, ale i wytrwałością owada. Ubóstwiana za swą piękność bez rywalki, podziwiana za swój rozum przez mężczyzn stanowiących śmietankę Sancerre, Dina podtrzymywała ten zachwyt swą rozmową, do której, jak twierdzono później, przygotowywała się. Widząc, że jej słuchają z upojeniem, przyzwyczała się stopniowo słuchać sama siebie, zasmakowała w perorowaniu i w końcu uważała przyjaciół za powierników z tragedii, przeznaczonych do dawania repliki. Nagromadziła sobie zresztą wcale okazałą kolekcję zdań i myśli, bądź z czytania, bądź przyswajając sobie myśli swych wiernych, i stała się w ten sposób niby pozytywką zaczynającą swą melodię z chwilą, gdy ktoś w konwersacji nacisnął odpowiednią sprężynę. Spragniona wiedzy (oddajmy jej tę sprawiedliwość), Dina przeczytała wszystko, aż do dzieł lekarskich, statystycznych, przyrodniczych, prawniczych; nie wiedziała bowiem, na co zużyć poranki, skoro odbyła przegląd kwiatów i wydała rozkazy ogrodnikowi. Obdarzona wyborną pamięcią oraz ową swadą właściwą niektórym kobietom, mogła rozprawiać na wszelki temat z nieskazitelnością wystudiowanego stylu. Toteż z Cosne, z Charité, z Nevers po prawym brzegu, a z Léré, Vailly, Argent, Blancafort, Aubigny po lewym, spieszono, aby się przedstawić pani de La Baudraye, tak jak w Szwajcarii przedstawiano się pani de Staël. Ci, co tylko jeden raz słyszeli melodie tej szwajcarskiej tabakierki, odchodzili oszołomieni i opowiadali o Dinie cuda, przypisując o paroksyzm kobiety na dziesięć mil wokoło. W osobie będącej przedmiotem takiej masowej admiracji i odgrywającej wciąż rolę, wytwarza się niejaki stan duchowego pijaństwa, które nie pozwala krytyce dotrzeć do bożyszcza. Atmosfera będąca wynikiem ciągłego napięcia nerwowego tworzy jak gdyby nimb, poprzez który dana istota widzi świat pod sobą. Jak wytłumaczyć inaczej wiekuiącą dobrą wiarę towarzyszącą tylokrotnemu powtarzaniu tych samych efektów; jak pojąć uparte lekceważenie przestrogi, jaką dają dzieci, tak straszne dla rodziców, albo mężowie tak oswojeni z niewinnymi sztuczkami żon? Pan de La Baudraye miał prostotę człowieka, który rozkłada parasol, skoro spadną pierwsze krople. Skoro żona wsiadła na kwestię handlu Murzynami lub polepszenia doli skazańców, brał niebieski kaszkiecik i wymykał się bez hałasu, z tą pewnością, iż może iść do Saint-Thibault skontrolować dostawę beczek i wrócić w godzinę później, zastając dyskusję w najdojrzałszej fazie. Jeśli nie miał nic do roboty, przechadzał się po Mail, skąd odsłania się cudowna panorama doliny Loary, i brał kąpiel powietrzną, gdy żona wykonywała sonatę słów i duety dialektyki. Raz pasowana na **kobietę wyższą**, Dina zapragnęła dać widomy zakład swej miłości do najwybitniejszych twórców sztuki; wzięła żywy udział w ideach szkoły romantycznej, obejmując pod pojęciem sztuki poezję i malarstwo, sztuch i posąg, mebel i muzykę. Toteż stała się **średniowieczniczką**. Wywiadywała się również o osobliwości mogące datować z czasu Odrodzenia i uczyniła ze swoich wiernych zastęp oddanych komisjonerów. Nabyła między innymi w pierwszej epoce małżeństwa ruchomości Rougetów w Issoudun<sup>8</sup> na licytacji, która odbyła się w początkach 1824. Wykupiła bardzo ładne rzeczy w Nivernais i okręgu Górnej Loary. Na kolebę lub w dzień imienin przyjaciele nie zaniechali nigdy ofiarować jej jakiejś osobliwości. Pan de La Baudraye patrzył pobłaźliwie na te fantazje, przybierał minę człowieka, który chętnie poświęca parę talarów kaprysom żony; ale w istocie ten **ziemny** człowiek myślał o swoim zamku

<sup>8</sup> Rougetowie – [por.] *Kawalerskie gospodarstwo, Stracone złudzenia, Pierwsze kroki*. [przypis tłumacza]

w Anzy. Te **starożytności** kosztowały wówczas o wiele mniej niż nowoczesne meble. Po kilku latach przedpokój, jadalnia, dwa salony i buduar, jakie Dina urządziła sobie na parterze w La Baudraye, wszystko, aż do klatki schodowej, przelewało się od arcydzieł wyłowionych w czterech sąsiednich departamentach. Rama ta, okrzyczana za dziwactwo, harmonizowała z Diną. Cuda owe, zaczynające właśnie wchodzić w modę, uderzały wyobraźnię nowo przybyłych; spodziewali się rzeczy dziwacznych, ale rzeczywistość przechodziła ich oczekiwanie, skoro poprzez ocean kwiatów ujrzeli te katakumby starożytności ustawione jak u nieboszczyka du Sommerard, tego *Old Mortality* meblarstwa! Osobliwości te stawały się zresztą równocześnie sprężynami, które w danej kwestii pozwalały tryskać tyradom na temat Jana Goujon, Michała Kolumba, Germana Pilon, Boullé'a, Van Huysium, Bouchera, owego wielkiego malarza rodem z Berry; na temat Brustolona, owego Michała-Anioła bukszpanu i dębu; na temat trzynastego, czternastego, piętnastego, szesnastego i siedemnastego wieku, emalii Bernarda de Palissy, Petitota, sztychów Albrechta Dürera (wymawiała **Dür**), iluminowanych welinów, gotyku w sposób zdolny porazić starców, a wprawić w entuzjazm młodych ludzi.

Ożywiona pragnieniem wiania życia w Sancerre, pani de La Baudraye próbowała stworzyć w mieście towarzystwo rzekomo literackie. Prezydent trybunału, pan Boirouge, któremu spadł właśnie na głowę domek z ogrodem z sukcesji Popinot-Chandier, poparł utworzenie towarzystwa. Przebiegły urzędnik ułożył z panią de La Baudraye statut, zgłosił się jako jeden z założycieli i wynajął swój dom na piętnaście lat Towarzystwu Literackiemu. Począwszy od drugiego roku, grywano tam w domino, w bilard, w gieryłsza, popijając grzane wino, poncz i likiery. Co się tyczy literatury, czytano dzienniki, dysputowano o polityce i mówiono o interesach. Od czasu do czasu, wyprawiano kolacyjki i dawano maskarady w karnawale. Pan de La Baudraye uczęszczał tam pilnie, ze względu na żonę, jak powiadał jowialnie.

Te rezultaty wprawiły w rozpacz kobiety wyższą, która zwątpiła o Sancerre; odtąd skupiła w swoim salonie cały intelektualizm okolicy. Jednakże mimo dobrej woli panów Chargeboeuf, Gravier, de Clagny i księdza Duret, pierwszego i drugiego podprokuratora, młodego lekarza, podsekretarza sądu, ślepych wielbicieli Diny, bywały chwile, iż po daremnych wysiłkach pozwalano sobie na wycieczki w dziedzinę miłych błahostek, które stanowią zwyczajną treść światowych rozmów. Pan Gravier nazywał to: **przejsć od wzniosłości do słodkości**. Wist księdza Duret stanowił użyteczną dywersję w *quasi*-monologach bóstwa. Trzej rywale, znużeni ciągłym napięciem umysłu w zakresie **rzeczy wyższych**, ale nie śmiejąc okazać najłżejszego przesytu, zwracali się niekiedy obleśnie do starego księdza. „Ksiądz proboszcz umiera z ochoty zrobienia partyjki”, mówili. Sprytny księżyna dostrajał się wcale nieźle do obłudy swoich współników, opierał się, wołał: „Za wiele stracilibyśmy, nie słuchając naszej pięknej Muzy!”. I podsycił wspaniałomyślność Diny, która litowała się w końcu nad drogim proboszczem. Ten śmiały manewr, wymyślony przez podprefekta, wprowadzono w życie z taką przebiegłością, iż Dina nie podejrzewała nigdy ucieczki swoich skazańców na łączkę zielonego stolika; zostawiano jej wówczas na pastwę młodego podprokuratora albo lekarza. Młody obywatel, dandys Sancerre, stracił łaski Diny wskutek paru niebaczących demonstracji. Zaszczycony tym, iż dopuszczono go do kółka, kołyszając się nadzieją, iż sprzątnie jego kwiat sprzed nosa uświęconym powagom, które go pielęgnowały, popełnił tę nieostrożność, iż ziewnął podczas prelekcji, jakiej Dina raczyła mu udzielić, po raz czwarty co prawda, na temat filozofii Kanta. Pana de Thaumassière, wnuka historyka z Berry, ogłoszono człowiekiem zupełnie pozbawionym inteligencji i duszy.

Trzej urzędowi wielbiciele poddawali się tym nadmiernym wydatkom dowcipu i uwagi w nadziei najśłodsze go tryumfu z chwilą, gdy Dina zacznie stąpać po ziemi, żaden bowiem nie miał odwagi przypuszczać, by miała postradać niewinność małżeńską, nim postrada swoje złudzenia. W 1826, epoce, w której Dina zażywała pełni hołdów, Muza liczyła lat dwadzieścia. Ksiądz Duret utrzymywał ją w poetycznej żarliwości katolicyzmu; wielbiciele Diny zadowalali się nadskakiwaniami, rywalizacją w usługach, dowodami pamięci, szczęśliwi, iż mogą uchodzić za rycerzy królowej w oczach przygodnych gości.

– Pani de La Baudraye to owoc, któremu trzeba dać dojrzeć – zaopiniował pan Gravier. Zatem czekał.

Co do prokuratora, ten pisywał listy na cztery strony, na które Dina odpowiadała kojącymi słowami, przechadzając się po obiedzie dokoła gazonu, wsparta na ramieniu swego wielbiciela. Strzeżona przez te trzy gorejące serca, pani de La Baudraye, zawsze zresztą w towarzystwie nabożnej matki, uniknęła dotąd obmowy. Było tak wiadome w Sancerre, że żaden z wiernych nie zostawiłby drugiego sam na sam z panią de La Baudraye, iż zazdrość ich stanowiła istną komedię. Aby się dostać od bramy Cezara do Saint-Thibault, istnieje droga o wiele krótsza niż przez wały, rodzaj ścieżki, którą mieszkańcy gór nazwaliby percią, a którą w Sancerre nazywają **Złamikarkiem**. To miano dosyć trafnie określa ścieżkę biegnącą po najbardziej stromym spadku, zawaloną kamieniami, a obramioną stokami winnic. Spiesząc **Złamikarkiem**, można było skrócić odległość z Sancerre do La Baudraye. Kobiety zazdrosne o Safonę z Saint-Satur przechadzały się po Mail, aby patrzeć na ten wyścig władz i przerywały go często, nawiązując jakąś rozmowę to z podprefektem, to z prokuratorem, którzy wówczas objawiali widoczną niecierpliwość lub też niegrzeczne roztargnienie. Ponieważ z Mail widać wieżyczki La Baudraye, niejednym młodym człowiekiem zachodził tam spoglądać na siedzibę Diny, zazdroszcząc przywileju dziesiątkowi stałych gości, którzy mieli prawo spędzać wieczór w towarzystwie królowej Sancerre z przyległościami. Pan de La Baudraye rychło spostrzegł przewagę, jaką rola męża dawała mu nad wielbicielami żony, i posługiwał się nimi z najdoskonalszą prostotą; zdobył małe ulgi w podatkach i wygrał dwa procesy. We wszystkich konfliktach błyskał przed oczami powagą prokuratora w ten sposób, iż każdy wołał mu ustąpić; był zaś drobiazgowy i trudny w interesach jak wszystkie karły, ale zawsze na słodko.

Jednakże im bardziej jaśniała niewinność pani de La Baudraye, tym trudniejszą stawała się jej pozycja w ciekawych oczach kobiet. Często u prezydentowej Boirouge starsze damy dyskutowały przez całe wieczory, poufnie, rozumie się, problem małżeństwa La Baudraye. Wszystkie przeczuwały w nim jedną z owych tajemnic, których sekret żywo interesuje kobiety świadome życia. W istocie, w La Baudraye rozgrywała się długa i monotonna tragedia małżeńska, z tych, które pozostałyby wiecznie nieznanne, gdyby chciwy skalpel dziewiętnastego wieku nie zaczął, wiedziony koniecznością znajdywania czegoś nowego, zgłębiać najtajniejszych zakątków serca lub też, jeżeli chcecie, tych, które uszanowała wstydlivość poprzednich stuleci. I ten dramat domowy dość dobrze tłumaczy cnotę Diny w pierwszych latach małżeństwa.

Młoda dziewczyna, której sukcesy na pensji czerpały swe źródło w ambicji, której pierwszą rachubę uwieńczyło pierwsze zwycięstwo, nie miała zapewne zamiaru zatrzymać się na tak pięknej drodze. Mimo niepozornej postaci, pan de La Baudraye, był dla panny Diny Piédefefer partią w istocie nieoczekiwaną. Co za ukrytą myśl mógł mieć ten winiarz, żeniąc się w czterdziestym czwartym roku z siedemnastoletnią dziewczyną, i jaką korzyść żona mogła zeń wyciągnąć? To był pierwszy temat rozmyślań Diny. Człowieczek mylił bezustannie obserwację żony. I tak zrazu pozwolił zagarnąć dwa szacowne hektary zmarnowane na park dokoła La Baudraye i dał, prawie że z lekkim sercem, siedem czy osiem tysięcy franków potrzebnych na przeobrażenia domu. Dina dzięki temu mogła zakupić w Issoudun ruchomości Rougetów i rozwinąć u siebie w domu przepychy średniowiecza, Ludwika XIV i Pompadour. Młoda mężatka z trudnością mogła wówczas uwierzyć, aby pan de La Baudraye był tak skąpy, jak mówiono: miała prawo myśleć, iż zdobyła nań nieco wpływu. Ten błąd trwał półtora roku. Po drugiej podróży paryskiej pana de La Baudraye Dina poznała w nim we wszystkim, co tyczyło pieniędzy, lodowaty chłód prowincjonalnego Harpagona. Pierwszej przymówce o kapitały towarzyszyła jedna z tych uroczych komedijek, których sekret pochodzi od Ewy; ale człowieczek wytłumaczył jasno żonie, iż daje jej dwieście franków miesięcznie na wydatki osobiste, płaci jej matce tysiąc dwieście franków renty z posiadłości La Hautoy, że więc w ten sposób łączna suma przewyższa o dwieście franków jej tysiąc talarów posagu. „Nie mówię o wydatkach domowych – dodał – pozwalam ci wieczorem podejmować przyjaciół ciasteczkami i herbatą, trzeba, abyś miała rozrywkę; ale ja, który jako kawaler nie wydawałem ani półtora tysiąca franków rocznie, wydaję

obecnie sześć tysięcy, licząc w to podatki, reparacje, a to jest trochę za dużo, zważywszy naturę naszego majątku. Winiarz jest zawsze pewny jedynie wydatków: nawóz, podatki, beczki – gdy dochód jest na łasce jednej posuchy lub przymrozka. Drobnii posiadacze, jak my, których dochody bynajmniej nie są czymś stałym, powinni zakreślać budżet według swego **minimum**, gdyż nie mają żadnego sposobu odzyskania wydatku lub straty. Cóż by się z nami stało, gdyby który z odbiorców zbankrutował? Toteż dla mnie akcepty, które otrzymuję w miejsce towaru, są jak kapuściane liście. Aby żyć, jak my żyjemy, musimy mieć wciąż przed sobą jeden rok dochodu i liczyć jedynie na dwie trzecie naszej renty”.

Wystarczy jakiegokolwiek oporu, aby kobieta zapragnęła go zwalczyć, Dina zaś natrafiła na duszę z brązu, wyścieloną safianem i flanelą. Próbowwała tchnąć obawy i zazdrość w tego człowieczka, ale znalazła go opatulonym w najbezpieczniejszy spokój. Udając się do Paryża, opuszczał Dinę z tą pewnością, jaką mógłby mieć Medor w stosunku do Angeliki. Kiedy próbowała być zimną i wyniosłą, aby przypiec do żywa wyskrobka ową wzgardą, jaką smagają kurtyzany swoich protektorów i która działa na nich z dokładnością śruby w prasie, pan de La Baudraye skierował na żonę oczy nieruchome jak oczy kota, który w chwili burzy domowej czeka uderzenia, nim opuści miejsce. W tej niemej obojętności było coś, co przeraziło niemal młodą, dwudziestoletnią kobietę; nie rozumiała zrazu samolubnej martwoty tego człowieka, który aby żyć, umiarkował mechanizm swego istnienia z tą ścisłością, jaką zegarmistrze dają wahadłu. Toteż mały człowieczek wymykał się ustawicznie żonie: atakowała go zawsze o dziesięć stóp ponad głowę. Łatwiej zrozumieć niż odmalować wściekłość Diny, skoro uczuła się skazana na wieczne bytowanie w La Baudraye lub Sancerre; toć w marzeniach swoich roiła o sterze majątku i o prowadzeniu tego karła, któremu zrazu ona, olbrzymka, poddała się, aby nim ovladnąć. W nadziei, iż zabłyśnie kiedyś na arenie Paryża, przyjmowała pospolite kadzidła swoich rycerzy, siliła się przygotować mężowi drogę do mandatu poselskiego, przypuszczała w nim bowiem ambicję, widząc, jak po trzykroć wraca z Paryża, przebywszy za każdym razem nowy szczebel drabiny społecznej. Ale kiedy zapukała w serce tego człowieka, uderzyła niby w marmur!... Eks-poborca, referendarz stanu, oficer Legii, komisarz królewski, był kretem ryjącym podziemne chodniki około szczepu wina! Parę westchnień spłynęło wówczas w serce prokuratora, podprefekta, a nawet pana Gravier, którzy wszyscy stali się tym oddańsi<sup>9</sup> wzruszającej ofierze; strzegła się bowiem pilnie, jak zresztą wszystkie kobiety, mówić o swoich rachubach i – również jak wszystkie kobiety – w niemożności spekulowania, spiorunowała wzgardą spekulację. Smagana tymi wewnętrznymi burzami, Dina doczekała, niezdecydowana, roku 1827, kiedy, pod koniec jesieni, buchnęła wiadomość o nabyciu Anzy przez barona de la Baudraye. Starowina miał wówczas chwilę radosnej dumy, która na kilka miesięcy przeobraziła pojęcia jego żony; uwierzyła w jego wielkość, widząc, iż zabiega się o stworzenie majoratu. W tryumfie swoim chuderlawy baron zakrzyknął: „Dino, będziesz kiedyś hrabiną!”. Wówczas nastąpił między małżeństwem rodzaj paktu, pojednania, które jest zawsze lichą łataniną; a stosunek ten musiał w równym stopniu nużyć jak upokarzać kobietę, której zalety jawne były fałszywe, a prawdziwe zalety ukryte. To dziwaczne przeciwieństwo częstsze jest, niż się wydaje. Dina, którą ośmieszały wady intelektu, była wielka sercem, duszą; ale okoliczności nie dawały sposobności zabłysnąć tym rzadkim siłom, podczas gdy pleśń prowincji kaziła z dnia na dzień drobną monetę jej umysłu. Przeciwnym zgoła fenomenem pan de La Baudraye, bez siły, bez duszy i bez rozumu, miał kiedyś uchodzić za człowieka wielkiego charakteru, idąc spokojnie drogą, z której nikłość jego nie pozwalała mu zboczyć.

Ta pierwsza faza egzystencji trwała sześć lat, w czasie których Dina stała się, niestety, **kobietą z prowincji**. W Paryżu istnieją rozmaite odmiany kobiet: księżna i bankierowa, ambasadorowa i żona konsula, żona ministra i żona byłego ministra, istnieje **przyzwoita kobieta** z prawego i z lewego brzegu; ale na prowincji jest tylko jedna kobieta, to kobieta z prowincji. Spostrzeżenie to kładzie palec na jednej z wielkich ran nowożytnego społeczeństwa. Zrozummy to! Dzisiejsza Francja dzieli

<sup>9</sup> *oddańszy* – dziś popr.: bardziej oddany. [przypis edytorski]

się na dwie wielkie strefy: Paryż i prowincję; prowincję zazdrosną o Paryż, Paryż myślący o prowincji jedynie po to, aby żądać od niej pieniędzy. Niegdyś Paryż był pierwszym miastem prowincji, dwór górował nad miastem; obecnie Paryż jest całym dworem, prowincja całym miastem. Choćby młoda dziewczyna, urodzona w jakimkolwiek departamencie, była nie wiem jak bujna, piękna, zdolna, jeżeli jak Dina Piédefer wyjdzie za mąż na prowincji i tam zostanie, stanie się niebawem kobietą z prowincji. Mimo najświętszych postanowień, komunały, ciasnota pojęć, zaniedbanie stroju, ciepłarnia pospolitości zaleją wzniosłą istotę kryjącą się w tej świeżej duszy i już po wszystkim, piękna roślina usycha. Jak mogłoby być inaczej? Od najwcześniejszego wieku dziewczyna taka widzi dokoła siebie jedynie samych prowincjałów, nie wymyśli nic lepszego, może wybierać jedynie między miernotami. Ojcowie z prowincji wydają córki jedynie za młodzież z prowincji; nikomu nie przychodzi na myśl krzyżować rasę, która wyradza się nieodzownie; toteż w wielu miastach inteligencja stała się równie rzadką jak typ fizyczny szpetnym. Człowiek karłowacieje tam w obu kierunkach, oplakana bowiem idea harmonii majątkowej wyrasta ponad wszystkie inne matrymonialne względy. Ludzie utalentowani, artyści, ludzie z głową, słowem wszelkie świetniej upierzone koguty odlatują do Paryża. Upośledzona jako kobieta, kobieta z prowincji jest również upośledzona w osobie męża. Żyję tu szczęśliwa z tymi dwiema przygniatającymi myślami! Ale niższość małżeńska i zasadnicza niższość kobiety z prowincji obciążone są trzecią i straszliwą niższością, która przyczynia się do tego, aby uczynić tę postać suchą i ponurą, aby ją ścieńnić, pomniejszyć, pomarszczyć haniebnie. Jednym z najbardziej rozkosznych upojeń, jakimi kobiety lubią się kołysać, czyż nie jest pewność, iż są czymś w życiu człowieka wyższego, wybranego przez nie z pełną świadomością, niby odwet za małżeństwo, w którym tak mało radzono się ich skłonności? Otóż na prowincji, jeżeli nie ma ludzi wybitnych wśród mężów, jest ich jeszcze mniej wśród kawalerów. Toteż kiedy na kobietę z prowincji przyjdzie chwila nieopatrzności, zawsze zadurzy się w rzekomym „ładnym chłopcu” lub małomiasteczkowym dandysie, w panu, który nosi rękawiczki, który uchodzi za dobrego jeźdźca; ale w głębi serca wie, że pragnienia jej ścigają mniej lub więcej dobrze ubrany komunał. Dinę ustrzegło od tego niebezpieczeństwa wszczepione w nią pojęcie własnej wyższości. Gdyby nawet w pierwszej epoce małżeństwa nie strzegła jej tak pilnie matka, byłaby ją tak samo obroniła duma i górnosc lotu, jaką naznaczyła swym losom. Dość mile pogłaskana rojem wielbicieli, nie widziała wśród nich materiału na kochanka. Żaden mężczyzna nie urzeczywistnił poetyckiego ideału, który kiedyś snuła wspólnie z Anną Grossetête. Kiedy zwalczona mimowolnymi pokusami, jakie rodziły w niej hołdy, pytała siebie: „Kogo bym wybrała, gdyby trzeba było bezwarunkowo wybrać?”, czuła wyraźniejszą skłonność do pana de Chargeboeuf, szlachcica z dobrego domu, którego osoba i wzięcie podobały się jej, ale którego wewnętrzny chłód, egoizm, ambicja ograniczająca się do prefektury i dobrego małżeństwa przejmowały ją odrazą. Za pierwszym słowem rodziny, która obawiała się, iż gotów byłby zmarnować życie dla miłości, wicehrabia opuścił już bez wyrzutów za pierwszej swej podprefektury ubóstwianą kobietę. Przeciwnie, pan de Clagny, jedyny, który duchowo odpowiadał Dinie, którego ambicja miała za sprężynę miłość i który umiał kochać, był dla niej fizycznie odpychający. Kiedy zrozumiała, iż jest skazana na to, aby zostać jeszcze sześć lat w La Baudraye, już miała przyjąć zabiegi wicehrabiego de Chargeboeuf; ale mianowano go prefektem i opuścił departament. Ku wielkiemu zadowoleniu prokuratora, nowy podprefekt był żonaty, a żona jego żyła blisko z Diną. Pan de Clagny nie miał już rywala prócz pana Gravier. Otóż pan Gravier był typem czterdziestolatka, którym się posługują i z którego drwią sobie kobiety, podtrzymując umiejętnie i bez skrupułów jego nadzieje, tak jak się karmi zwierzę pociągowe. W ciągu sześciu lat między wszystkimi mężczyznami, których jej przedstawiono, na dwadzieścia mil wokoło nie znalazł się ani jeden, na którego widok Dina odczułaby owo wzruszenie, jakie budzi piękność, wiara w szczęście, zetknięcie z wyższą duszą lub przecucie jakiej bądź miłości, nawet nieszczęśliwej.

Żadna z szacownych zdolności Diny nie mogła się tedy rozwinąć; skryła rany zadane jej dumie, ustawicznie drażnionej przez męża, który przechadzał się tak spokojnie, niby podrzędny aktor, na scenie jej życia. Zniewolona zagrzebać skarby serca, wydała społeczeństwu jedynie swą

zewnątrzną istotę. Chwilami otrząsała się, chciała powziąć męskie postanowienie; ale trzymała ją na pasku kwestia pieniężna. Tak, powoli, mimo ambitnych protestów, mimo lirycznych buntów ducha ulegała przeobrażeniom prowincjonalnym, któreśmy właśnie opisali. Każdy dzień unosił strzęp pierwotnych postanowień. Wykreśliła sobie program starań toaletowych i zaniedbała go stopniowo. O ile zrazu szła za modą, o ile utrzymywała styczeńność z drobnymi wymysłami zbytku, z czasem była zmuszona ograniczyć sprawunki do wysokości swej pensji. W miejsce czterech kapeluszy, sześciu czepeczków, sześciu sukien, zadowolili się jedną suknią na sezon. Tak bardzo wychwalano na Dinie pewien kapelusz, że donosiła go jeszcze w następnym roku. Tak samo ze wszystkim. Często artystyczna jej dusza poświęcała wymagania stroju żądzy posiadania jakiegoś gotyckiego mebla. W siódmym roku doszła do tego, iż najwygodniej jest kazać robić ranne suknie pod swoim okiem najbieglejszej szwaczce z miasteczka; matka, mąż, przyjaciele znajdowali ją uroczą w tych oszczędnych toaletach, w których błyszczał jej dobry smak. Kopiowano jej pomysły!... Ponieważ nie miała przed oczyma żadnej miary porównania, Dina wpadła w pułapkę, jaką zastawia kobietom prowincja. Jeżeli paryżanka ma nie dość ładną linię bioder, wynalazczość jej i chęć podobania się znajdują na to jakieś heroiczne lekarstwo; jeśli ma jakąś wadę, jakiś brzydki szczegół, skazę, zdolna jest zrobić z nich swój urok; widzi się to często; ale kobieta z prowincji nigdy! Jeżeli stan ma za krótki, jeśli pulchność jej kształtów jest źle rozmieszczona, ano cóż! Godzi się z tym i wielbiciele pod grozą niełaski muszą ją przyjąć taką, jaka jest, gdy paryżanka chce zawsze, aby ją brano za to, czym nie jest. Stąd te dziwaczne figury, te bezczelne chudości, te komiczne peryferie, te linie bez wdzięku wystawiane z całą naiwnością, do których całe miasto przyzwyczało się, a które zdumiewają, skoro kobieta z prowincji pokaże się w Paryżu lub wobec paryżan. Dina, która miała smukłą kibić, podkreślała to przesadnie. Nie spostrzegła chwili, w której stała się śmieszna; kiedy wychudzona nudą stała się niby ubranym szkieletem; przyjaciele, widząc ją co dzień, nie uważali zgoła nieznacznych zmian w jej osobie. To zjawisko jest naturalnym następstwem prowincji. Mimo małżeństwa, młoda panienka zachowuje przez jakiś czas swą urodę, miasto jest z niej dumne; ale każdy widzi ją co dzień; w tym ciągłym obcowaniu spostrzegawczość ściiera się. Jeżeli, jak pani de La Baudraye, straci nieco swego blasku, zaledwie to ktoś zauważy. Więcej jeszcze, wszyscy rozumieją każdą maleńką skazę, interesują się nią. Drobne zaniedbanie budzi zachwyty. Zresztą wszyscy tak dobrze wystudiowali wzajem swoje fizjonomie, tak je znają, że zaledwie spostrzegają te drobne usterki, a może nawet uważają je w końcu za rodzaj pieprzyka. Kiedy Dina przestała przeobrażać swą toaletę z każdym sezonem, uczyniła niejako ustępstwo na rzecz miejscowej filozofii. Tak samo z mową, ze sposobem wysłowienia, z myślami, toż samo z uczuciem; umysł rdzewieje równie jak ciało, jeśli się nie odnawia w paryskim środowisku; ale w czym życie na prowincji odbija się najbardziej, to w geście, w chodzie, w ruchach, które tracą ową zwinność, jakiej Paryż użycza nieustannie. Kobieta z prowincji przyzwyczajona jest chodzić, obracać się w przestrzeni bez przypadków, bez zderzeń; nie potrzebuje niczego wymijać; porusza się w Paryżu jak rekrut, nie podejrzewając, aby mogły istnieć przeszkody; nie ma ich bowiem dla niej na prowincji, gdzie ją znają, gdzie jest zawsze na swoim miejscu i gdzie wszyscy robią jej miejsce. Kobieta traci wówczas urok niespodzianki. Wreszcie, czyście zauważyli osobliwe oddziaływanie, jakie wywiera na człowieka wspólne życie? Mocą niezniszczalnego instynktu naśladowania indywidua dążą do tego, aby się kształtować jedne podług drugich. Bezwiednie przejmują wzajem od siebie ruchy, sposób mówienia, pozę, wyraz, fizjonomię. W sześć lat Dina dostroiła się do towarzystwa. Przejmując myśli pana de Clagny, przejęła ton jego głosu; widując samych mężczyzn, naśladowała, sama nie wiedząc o tym, zachowanie męskie; mniemała iż, żartując sobie z nich, ubezpieczy się od wszystkich ich śmiesznośtek; ale, jak zdarza się wielu kpiarzom, coś z tych drwin przyłgnęło do niej samej. Paryżanka ma zbyt wiele przykładów dobrego smaku, aby to zjawisko było u niej możliwe. I tak, paryżanki czekają pory i chwili, aby uwydatnić swoje zalety; gdy pani de la Baudraye, przyzwyczajona wypełniać scenę sobą, nabrała czegoś teatralnego i władczego, gestu wchodzącej na scenę primadonny, z którego w Paryżu rychło by ją wyleczyły drwiące spojrzenia. Kiedy zgromadziła swój kapitał śmiesznośtek i kiedy

omamiona przez zachwyconych wielbicieli sądziła, iż nabyła nowych uroków, przysłała na nią chwila strasznego przebudzenia, które było niby spadająca z góry lawina. W 1882, po wyjeździe pana de Chargeboeuf, egzystencją Diny wstrząsnęło drobne, a zarazem wielkie wydarzenie: zapowiedziała się baronowa Anna de Fontaine. Po śmierci ojca mąż Anny, który został generalnym dyrektorem w ministerium finansów, spożytkował urlop, aby zawieść żonę do Włoch w czasie żałoby. Anna zapragnęła zatrzymać się dzień w Sancerre u przyjaciółki z dzieciństwa. To widzenie miało w sobie coś posepnego. Anna, w pensjonacie Chamarolles o wiele mniej piękna od Diny, wydawała się jako baronowa de Fontaine tysiąc razy piękniejsza od baronowej de La Baudraye, mimo zmęczenia i podróżnego stroju. Wysiadła z prześlicznej podróżnej karety obładowanej pudłami pachnącymi Paryżem: miała z sobą pannę służącą, której elegancja przeraziła Dinę. Wszystkie różnice, jakie dzielią paryżankę od mieszkanki prowincji, zajaśniały inteligentnym oczom Diny; ujrzała się wówczas taką, jaką wydała się przyjaciółce, która znalazła ją nie do poznania. Anna wydawała sześć tysięcy franków rocznie na siebie: tyle, ile kosztował cały dom pana de La Baudraye. W ciągu doby przyjaciółki wymieniły niejedno zwierzenie; paryżanka, czując swą wyższość nad feniksem pensjonatu Chamarolles, okazała przyjaciółce z prowincji dobroć i względy, tłumacząc jej pewne rzeczy, które zadały Dinie tym głębsze rany: prowincjałka poznała bowiem, iż przewagi paryżanki są czysto powierzchowne, podczas gdy jej wyższość miała zostać na zawsze zagrzebana.

Po wyjeździe Anny, pani de La Baudraye, wówczas licząca dwadzieścia dwa lata, popadła w rozpacz bez granic.

– Co pani? – rzekł pan de Clagny, widząc ją tak przybitą.

– Anna – rzekła – uczyła się żyć, gdy ja uczyłam się cierpieć.

W istocie, w małżeństwie pani de La Baudraye rozgrywała się tragikomedія będąca w harmonii z jej walkami finansowymi, z jej przeobrażeniami. Obok księdza Duret, jedynie pan de Clagny świadomy był tego epizodu, odkąd Dina przez bezczynność, przez próżność może, zdradziła mu sekret swej bezimiennej sławy.

Mimo iż połączenie wierszy i prozy jest w literaturze francuskiej czymś potwornym, istnieją wszakże wyjątki od tego prawidła. Pozwolimy sobie w tym opowiadaniu pogwałcić je na chwilę; aby bowiem odsłonić tajemne walki, które mogą Dinę wytłumaczyć, jeżeli nie rozgrzeszyć, trzeba nam zanalizować pewien poemat, owoc jej głębokiej rozpacz.

Przywiedziona do granic cierpliwości i rezygnacji wyjazdem wicehrabiego de Chargeboeuf, Dina poszła za radą pocziwego księdza Duret, który poddał jej, aby przeobraziła swoje złe myśli w poezję; recepta, która może tłumaczy niektórych poetów.

– Będzie z tobą, moje dziecko, jak z tymi, którzy układają nagrobki lub elegie na śmierć drogiej istoty: boleść uśmierza się w sercu w miarę, jak aleksandryny kipią w głowie.

Ten osobliwy poemat wstrząsnął departamenty Allier, Nièvre i Cher, szczęśliwe z posiadania poety zdolnego mierzyć się z paryskimi znakomitościami. *Pakita z Sewilli* przez **Jana Diaz** ukazała się w *Echu*, chudym tygodniku, który półtora roku walczył z prowincjonalną obojętnością. Paru odczytanych ludzi w Nevers twierdziło, iż Jan Diaz chciał sobie zadrwić z młodej szkoły, która płodziła wówczas swoje ekscentryczne poezje pełne ognia i obrazów, i osiągała w nich wielkie efekty, gwałcąc muzę pod pozorem niemieckich, angielskich i romańskich fantazji. Poemat zaczynał się od tej pieśni:

Znaszli Hiszpanów kraj,  
Miłości cudny raj?  
Upalne dnie, wieczory chłodne,  
Usta całunków wiecznie głodne,  
Płomienne oko, czarna brew  
Andaluzyjskich dziew.

Inny tam mieszka lud,

Nieznany im nasz chłód;  
Tam od wieczora do poranka  
Pod oknem dyszy pieśń kochanka,  
Szturmuje do rozkosznych twierdz  
Kobięcych ciepłych serc...

W ponurym zaułku wyblakłym dziewczętom,  
Pakita pieśń swoją zawodzi,  
W tym Rouen, tak smętnym żałobą przeklętą,  
Co z dymów północy się rodzi;  
W tym Rouen, tak czarnym i szpetnym, i wrogim...

Wspaniały opis Rouen, gdzie Dina nigdy nie była, skreślony z ową podrabianą brutalnością, która podyktowała później tyle poezji juwenalowskich, przeciwstawiał egzystencję przemysłowych miast leniwemu życiu Hiszpanii, miłość nieba i piękności ludzkiej kultowi machin, słowem poezję spekulacji. I Jan Diaz malował wstręt Pakity do Normandii, mówiąc:

Niebo Sewilli błękitne, przejrzyste,  
Kolebką było Pakicie;  
W trzynastu leciech jej oko strzeliste  
Śmierć niosło wokół i życie;  
Toreadorów trzech legło z jej winy,  
Zwycięstwa bowiem zapłata  
Był całus z ustek przesłodkiej dziewczyny,  
Któż życia nie dałby za to?...

Klisza portretu młodej Hiszpanki służyła później tylu kurtyzanom w tylu rzekomych poematach, iż zbyt czynnym byłoby przepisywać tu setkę wierszy, z jakich się składa. Ale, aby dać ocenić śmiałości, na jakie pozwoliła sobie Dina, wystarczy przytoczyć zakończenie. Wedle płomiennej pani de La Baudraye, Pakita była tak bardzo stworzona do miłości, iż z trudnością mogła spotkać kawalerów godnych siebie; albowiem:

... w całunków pożarze  
Najtęższych opadła już siła,  
Kiedy Pakita w rozkoszy pucharze  
Zaledwie usta zmoczyła...

Mimo to, opuściła radosną Sewillę, jej lasy i łąny pomarańczowe dla normandzkiego żołnierza, który ją rozkochał i zabrał w swoje strony. Nie żałowała Andaluzji; ten żołnierz był jej całym szczęściem; – ale jednego dnia trzeba mu było pociągnąć do Rosji za wielkim cesarzem.

Nic delikatniejszego, niż obraz pożegnania Hiszpanki z normandzkim kapitanem artylerii, który w szale namiętności oddanej z uczuciem godnym Byrona żądał od Pakity ślubu bezwzględnej wierności w katedrze roueńskiej, przy ołtarzu Matki Boskiej, która, mimo iż dziewica:

Jest kobietą i nigdy temu nie przebacza  
Kto złamie przysięgę miłości...

Znaczna część poematu poświęcona była obrazowi cierpień Pakity żyjącej samotnie w Rouen w oczekiwaniu końca kampanii; wiła się za kratami okien, widząc przechadzające się radosne pary, dławiała miłość w sercu z energią, która ją pożerała, żyła narkotykami, spalała się w marzeniach!

Omam nie umarła, ale pozostała wierną i kiedy żołnierz powrócił po roku, zastał swą piękność godną całej jego tkliwości. Ale on, wyblakły i zmroźony do szpiku lodami chłodnej Rosji, smutno przyjął stęsknioną kochankę...

Cały poemat był poczęty dla tej sytuacji wyzyskanej z werwą, ze śmiałością, która aż nadto może potwierdzała pogląd księdza Duret. Pakita, poznając granice, w których kończy się miłość, nie rzuciła się jak Heloiza i Julia w nieskończoność, w sferę ideału; nie, skierowała się – rzecz może okrutnie naturalna – na drogę grzechu, ale bez żadnej wielkości, dla braku odpowiednich czynników: trudno znaleźć w Rouen ludzi dość namiętnych, aby im przyszło na myśl pomieścić taką Pakitę w godnym jej środowisku wytworności i zbytku. Ta okropna rzeczywistość, podniesiona jakąś posępną poezją, podyktowała kilka stron z rodzaju, którego nadużywa może nieco współczesna sztuka, dość podobnych do owych studiów anatomicznych malarzy przedstawiających ciało bez skóry; po czym pełnym filozofii zwrotem poeta, odmalowawszy ohydny dom, w którym Andaluzyjka kończyła swoje dni, wracał do początkowego śpiewu:

Pakita dzisiaj, zmarszczona, zgrzybiała,  
Tak sobie czasem nuci:

Znaszli Hiszpanów kraj,  
Miłości, etc.

Dzika energia zawarta w tym kilkusetwierszowym poemacie, która, jeżeli wolno zapożyczyć tego słowa z malarstwa, służyła za silny *repoussoir* dwóm *seguidillom* podobnym do tej, która zaczyna i kończy utwór, męski wyraz niewymownego cierpienia przeraziły kobietę, którą trzy departamenty podziwiała pod czarnym frakiem anonimu. Sycąc się upajającymi rozkoszami powodzenia, Dina lękała się złośliwości prowincji, gdzie niejedna kobieta w razie niedyskrecji chciałaby się doszukiwać związków między autorką a Pakitą. Następnie przyszło zastanowienie; Dina zadrżała ze wstydu na myśl, iż obnażyła pewne bolesne struny duszy.

– Nie pisz już nic, dziecko – rzekł ksiądz Duret – nie byłabyś kobietą, stałabyś się literatką.

Szukano Jana Diaz w Moulins, w Nevers, w Bourges, ale Dina była nie do przeniknięcia. Aby nie zostawić złego pojęcia o sobie, w razie gdyby nieszczęsny przypadek odsłonił jej imię, stworzyła uroczy poemat w dwóch pieśniach na temat *Mszy pod dębem*, wedle następującej miejscowej tradycji: Jednego dnia mieszkańcy Nevers i Saint-Saulge, będąc ze sobą w wojnie, wyszli o świcie, aby wydać sobie wzajem śmiertelną bitwę i spotkali się w lesie w Haye. Pomiedzy zbrojnymi hufcami podniósł się spod dębu ksiądz, którego postawa w promieniach wschodzącego słońca miała coś tak uderzającego, iż obie strony, powolne jego rozkazom, wysłuchały mszy, którą odprawił pod dębem, i na głos Ewangelii pojednały się. Pokazują jeszcze ów dąb w lesie Haye. Poemat ten, nieskończenie wyższy od *Pakity z Sewilli*, miał o wiele mniej powodzenia. Od tej podwójnej próby, pani de La Baudraye, czując się poetą, miewała na czole, w oczach, niespodziane błyski, które uczyniły ją piękniejszą niż wprzódy. Zwracała oczy na Paryż, wzdychała do sławy i osuwała się w swoją norę w La Baudraye, w codzienne sprzeczki z mężem, w swoje kółko, w którym charakter, intencje, odezwania były zbyt znane, aby mogły na dłużej nie znudzić. Jeżeli Dina szukała w pracach literackich oderwania od swoich nieszczęść; jeżeli w pustce jej życia poezja znalazła wielki oddźwięk, jeżeli zaprzątnęła jej siły, z drugiej strony znów literatura kazała jej tym bardziej zniechęcić szarą i ciężką atmosferę prowincji.

Kiedy po rewolucji 1830 sława George Sand zabłysła nad Berry, okoliczne grody pozazdrościły miastu La Châtre przywileju, iż wydało rywalkę pani de Staël, Kamila Maupin<sup>10</sup>, i były skłonne uczcić najmniejsze talenty kobiece. Toteż ujrzano wówczas we Francji wiele „dziesiątych muz”, młodych dziewcząt lub młodych kobiet wyrwanych ze spokojnego życia pozorami sławy. Głoszono wówczas osobliwe teorie co do roli kobiety w społeczeństwie. Zdrowy rozsądek, który stanowi grunt duszy francuskiej, nie zatonął zupełnie; pozwalano wszakże kobietom wyrażać myśli, głosić uczucia, do których nie byłyby się przyznały parę lat przedtem. Pan de Clagny skorzystał z tej chwili swobody, aby zebrać dzieła Jana Diaz w małym tomiku in 18-o, który odbito u Desroziers'a w Moulin. Nakreślił o tym młodym pisarzu, wydartym tak przedwcześnie literaturze, notatkę dowcipną dla tych, którzy znali słowo zagadki, ale niebędącą już wówczas w literaturze czymś zupełnie nowym. Tego rodzaju żarty, doskonałe, jeżeli incognito jest ściśle zachowane, stają się nieco martwe, kiedy później autor da się poznać. Ale pod tym względem notatka o Janie Diaz, synu jeńca hiszpańskiego, urodzonym około 1807 w Bourges, ma wielkie widoki oszukania kiedyś fabrykantów *Biografii powszechnych*. Niczego tam nie brak, ani nazwisk profesorów kolegium, ani imion współuczniów zmarłego poety, jak Lousteau, Bianchon i innych sławnych synów Berry, którzy jakoby pamiętają go marzycielskim, melancholijnym, zdradzającym wczesny dar poezji. Elegia zatytułowana: *Smutek*, napisana w kolegium, dwa poematy: *Pakita z Sewilli* i *Msza pod dębem*, trzy sonety, opis katedry w Bourges i domu Jakuba Coeur, wreszcie nowela zatytułowana *Karola*, podana jako dzieło, przy którym zaskoczyła go śmierć, tworzyły puściznę literacką zmarłego, którego ostatnie chwile, pełne nędzy i rozpacz, musiały wzruszyć serca tkliwych istot w Nièvre, Bourbonnais, Cher i Morvan, gdzie wyzionął ducha, w pobliżu Château-Chinon, nieznany wszystkim, nawet tej, którą kochał! ... Żółty tomik odbito w 200 egzemplarzach, z których sprzedano 150, mniej więcej po 50 na departament. Ta **przeciętna** tkliwych i poetycznych dusz w trzech departamentach Francji może ostudzić entuzjazm autorów co do *furia francese*, która w naszej epoce o wiele bardziej zwraca się ku interesom niż ku książkom. Pan de Clagny – podpisał bowiem tę notatkę – rozdał nieco egzemplarzy znajomym, Dina zachowała ich kilka, wraz z recenzjami dzienników. Dwadzieścia egzemplarzy posłanych do pism paryskich utonęło w otchłaniach redakcji. Natan, „wzięty na kawał”, zarówno jak wielu berryjczyków, uczcił artykułem wielkiego człowieka, przyznając mu wszystkie przymioty, jakie chętnie przyznaje się nieboszczykom. Lousteau, ostrzeżony przez kolegów szkolnych, którzy nie przypominali sobie Jana Diaz, odczekał wiadomości z Sancerre i dowiedział się, iż Jan Diaz był pseudonimem kobiety. Okręg Sancerre zapłonął kultem dla pani de La Baudraye, w której chciano widzieć przyszłą rywalkę George Sand. Od Sancerre do Bourges wychwalano, wynoszono pod niebiosy poemat, który w innym czasie spotkałby się z pewnością z potępieniem. Publiczność prowincjonalna, jak każda może publiczność francuska, mało smakuje w namiętności króla Francuzów, **złotym środkiem**: wynosi pod chmury albo zanurza w błocie.

W tej epoce poczciwy stary ksiądz Duret, doradca pani de La Baudraye, umarł; inaczej byłby ją pewno wstrzymał od wstąpienia na drogę rozgłosu. Ale trzy lata pracy i incognita ciążyły sercu Diny, która zgiełkiem sławy zastąpiła wszystkie zawiedzione ambicje. Poezja i marzenia o sławie, które od spotkania z Anną Grossetête uspiły jej bóle, nie wystarczały już po r. 1830 pragnieniom tego chorego serca. Ksiądz Duret, który mówił o względach świata wówczas gdy, głos religii był bezsilny, ksiądz Duret, który rozumiał Dinę, który jej malował piękną przyszłość, mówiąc, iż Bóg nagrodzi wszystkie szlachetnie dźwigane cierpienia, ten miły starzec nie mógł już stanąć między groźnym niebezpieczeństwem a piękną penitentką, którą nazywał swą córką. Stary i mądry ksiądz silił się niejedną raz oświecić Dinę co do charakteru pana de La Baudraye, mówiąc, że ten człowiek umie nienawidzić; ale kobiety niełatwo są skłonne przyznać siłę istotom słabym, nienawiść zaś jest zbyt wyteżoną czynnością, aby mogła nie być żywą siłą. Znajdując męża głęboko obojętnym w miłości,

<sup>10</sup> *Kamil Maupin* – pseudonim panny des Touches, jednej z postaci cyklu *Komedii ludzkiej* Balzaka (*Stracone złudzenia* etc.). [przypis tłumacza]

Dina nie wierzyła u niego w zdolność nienawiści. „Nie mieszaj nienawiści i zemsty – mówił ksiądz – to dwa bardzo różne uczucia: jedno jest odwetem ludzi małych, drugie prawem, któremu są posłuszne wielkie dusze. Bóg mści się, a nie nienawidzi. Nienawiść jest przywarą ciasnych dusz, karmią ją wszystkimi swymi małostkami, czynią z niej płaszczyk dla niskich instynktów tyranii. Toteż strzeż się zranic pana de La Baudraye; przebaczyłby ci błąd, bo znalazłby w nim korzyść, ale byłby spokojnie nieubłagany, gdybyś dotknęła punktu, w który go tak okrutnie ugodził pan Milaud z Nevers; wówczas życie stałoby ci się niemożliwe”.

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.